

## **PAMIĘTNIK OGLĄDANIA**

**Olga Drenda**

# ***Repertuar losowy***

DOI 10.56351/PLEOGRAF.2024.1.08

Moja prawdopodobnie pierwsza, a w każdym razie pierwsza, jaką jestem sobie w stanie przypomnieć, wizyta w kinie, mogła nastawić mnie entuzjastycznie do budynków kinowych, za to niekoniecznie do samych filmów. Najwcześniejsze świadome wspomnienie dotyczące seansu w kinie to bowiem nieszczęsne „Latające maszyny kontra Pan Samochodzik” z roku 1991, które nie zapisały się najlepiej w dziejach polskiego kina młodzieżowego. Nie wybrałam go z własnej woli, była to wycieczka dla uczniów klasy pierwszej. Z samego filmu zapamiętałam chyba tylko czołówkę; lepiej pamiętam okoliczności tej wyprawy, chłodny, mglisty sobotni poranek i telewizję po powrocie do domu. W magazynie „5-10-15” ktoś namalował wielki portret swojego idola Beethovena, zespół dziecięcy Flash uczył „nowego tańca hip hop”, a potem leciała „Banda Owidiusza”. Tyle pamiętam z tego potencjalnie wiekopomnego seansu.

Nie ma to jednak szczególnego znaczenia, bo zdecydowanie ważniejsze od samego filmu będzie tu konkretne kino, do którego nas zabrano. Były to bowiem ostatnie chwile funkcjonowania katowickiej „Bajki”, niewielkiego kina w budynku z czerwonej cegły. Przed II wojną światową mieściła się tu polska restauracja o efektownej nazwie „Zdrowa Myśl”. Jak znaczna część zabudowy w rejonie Ligoty i Piotrowic, kojarzyła się z rekreacją dla bywalców odzianych w kamizelę i kapelusz, takich porządnych gospodarzy. Po 1945 roku otwarto tu jedno z wielu kin; dane mi było zdążyć na jego mało niestety spektakularny zmierzch. Przez mgłę pamiętam neon, przypominający nieco cyrkową typografię. Zapewne to tego kina dotyczył również mój pierwszy kontakt z polską szkołą plakatu w postaci zapowiedzi „Galimatiasu” Romana Załuskiego i „Porno” Marka Koterskiego. Kłopotliwie dla moich rodziców, ponieważ musieli wyjaśnić mi znaczenie obu zagadkowych słów. Zakończenie działalności Bajki nie oznaczało jednak zerwania tego miejsca z filmem. W budynku przy ulicy Piotrowickiej niebawem uruchomiono

bowiem wypożyczalnię o dantejskiej nazwie Video Limbo, którą odwiedzałam co najmniej raz w tygodniu.

Magnetowid pojawił się w naszym domu dość późno. Jak na rodzinę mającą bliski związek z nauką (moi rodzice pracowali wówczas na Śląskiej Akademii Medycznej), nasza codzienność wydawała się zdumiewająco anachroniczna, zwłaszcza w porównaniu z życiem moich rówieśników. Ci ostatni na ogół cieszyli się już oglądaniem tzw. „bajek” (nie lubiłam nigdy tego określenia i go nie używałam, chodziło o filmy animowane) na VHS, a także niemieckich teleturniejów z satelity, bo zwykle mieli bliskich w RFN, lub ich rodzice wyjeżdżali tam do pracy. Moja mama mogła, owszem, obsługiwać komputer Odra, a potem najnowocześniejsze komputery osobiste, tato kupował „Fantastykę” (a mnie – „Małą Fantastykę”, oczywiście), ale ponieważ mieszkaliśmy przez większość czasu w leśniczówce babci i dziadka, to otaczał nas sprzęt z lat siedemdziesiątych. Wszystko tam zamroziło się na etapie, gdy dziadzio oglądał był pasjami „Świętego” z Rogerem Moore’em – dom ten umknął pokusom „gonienia Zachodu”. Oznaczało to obcowanie z czarno-białym telewizorem Beryl, stojącym na długich nóżkach i obsługiwanym pokrętłami, oraz umiarkowanie działającym kolorowym, chyba Neptunem. Musiało być to kiedyś wewnątrz nowoczesne i modne, ale pod koniec lat 80., gdy dziadek wraz z całą Polską śledził już brazylijski dramat „W kamiennym kręgu” (takiego go pamiętam – rankiem robił z radiem „jaskółki”, popołudniami śledził seriale obyczajowe), przypominało już muzeum dawnych wygod.

Z filmami na video miałam do czynienia podczas wizyt u cioci i wujka, których życie przez małą chwilę musiało wyglądać chyba jak „w sam raz” obywateli późnego PRL-u: byli kiedyś na wakacjach w Jugosławii oraz posiadali wieżę stereo i magnetowid. Skromna ciocina wideoteka pokazywała w miniaturze rynek kasetowy późnych lat osiemdziesiątych, bo był tam oficjalnie wydany „Faraon” i licencjonowane kreskówki Hanny-Barbery. Być może dlatego, że sama przebywałam w domu z innej epoki, coś mi nie grało z tymi animacjami sprzedawanymi jako rzekomo wielka atrakcja dla polskiego dziecka, niebożęcia z kraju wschodniego. One ze swoją dynamiką i stylem w ogóle nie pasowały do formatu video, tego narzędzia przyszłości. Czułam, że wciska się nam jakieś starocie, a wraz z nimi – kit. Poza tym były tam kasety z giełdy, amatorsko kopiowane i podpisywane ręcznie, głównie klasyka amerykańskiej komedii VHS-owej: „Moja macocha jest kosmitką”, „Dziennik sierżanta Piątka”, „Policjantki z FBI”. Podejrzewam, że wszystkie te filmy cieszyły się w Polsce tzw. kultowym statusem i znacznie dłuższym życiem niż w USA. Dorośli je uwielbiali.

Nic dziwnego, że długo nie wiedziałam, o co chodziło z ówczesnym dziecięcym hitem, Żółwiami Ninja. W 1991 roku, wokół którego tu na razie orbitujemy, wciąż tkwiłam częściowo w uniwersum Żwirka i Muchomorka. Jednak gdy tylko poznałam

Żółwie, z miejsca pokochałam kanalarSKI humor dialogów, zapragnęłam zjeść pizzę i ćwiczyć sztuki walki. Ale od początku; nim doczekaliśmy się własnego video, oglądaliśmy to, co było w telewizji, czyli repertuar raczej przypadkowy. Babcia, miłośniczka boksu, bluesa i country, prowadziła swoją prywatną klasyfikację filmów na „ładne” i „okrutne”, a do tej drugiej kategorii trafiały głównie amerykańskie obyczajówki telewizyjne w stylu Hallmarku. O przemocy na ekranie wypowiadała się niepochlebnie i dobitnie, choć akurat tak nieszczęśliwie wypadło, że to w jej obecności zobaczyłam w „Wiadomościach” rozstrzelanie Ceausescu. Dziadek cenił kino typu fresk, takie, jakie telewizja nadawała w niedzielne wczesne popołudnia: „Ben Hur”, jakieś długie westerny, filmy wojenne w Technikolorze. Pamiętam, że wyjątkowo często padało na filmy o Tobruku, choć nie pamiętam, które. Niedzielne popołudnia oznaczały cykl „W starym kinie”, z którego zapamiętałam głównie film „Variete” z 1925 roku, melodramat w trochę ekspresjonistycznym stylu. Wydaje mi się, że musiałam wtedy uznać go za ważniejszy dla historii kina, niż był w rzeczywistości.

Antena umiarkowanie dobrze chwytiała sygnał i zaśniewany obraz wydawał mi się zupełnie naturalny. Odbieraliśmy Jedynekę, Dwójkę, TV Katowice i czasem któryś kanał czeski. W okolicach 1993 roku dołączyła do nich piracka telewizja Rondo. Odkryła to moja siostra, która miała w zwyczaju urządzać sobie długie telewizyjne poranki z kreskówkami, choćby najgorszymi. Rondo nadawało stare anime z włoskim dubbingiem, dzisiaj kultowe dla mojej generacji. Z niewiadomych przyczyn mój tato wypowiadał się o nim z najwyższym wstrętem, za to my z siostrą wciągnęliśmy się w ten świat, choć na jedną zabawną animację przypadały dwie nieznośnie moralizatorskie. W 1994 roku nadawca ten, podobnie jak inne pirackie stacje, został wykupiony przez Włochów i włączony w pasmo stacji Polonia 1. Repertuar Ronda w rękach włoskich przypominał dzień świstaka, bo pamiętam przewijające się w zapowiedziach te same tytuły. Gdybym wcześniej zainteresowała się kinem klasy B, pewnie nastawiłabym mocniej uszu, ale w pamięci pozostał mi niestety jedynie tytuł filmu, którego na pewno nie chciałabym obejrzeć – komedii erotycznej „Niewinna i czysta”. Ze zwiastunów jestem w stanie zrekonstruować fragmenty dość brutalnych produkcji „spaghetti crime”, być może była to jedyna okazja, by zobaczyć je w Polsce. Ludzie ubrani w garnitury strzelali do siebie w pełnym słońcu.

„Filmy, których być może nie uda mi się nigdy odnaleźć” to osobna kategoria. Pojedyncze kadry, sceny i okładki, gdzieś przyuważone, ale na tyle mało charakterystyczne, że nie sposób ich „odkodować”. To dlatego, że pierwsze lata filmowej edukacji przypadły na czasy, którymi rządził chaos i przypadek. Na przełomie lat 80. i 90. w telewizji wciąż nadawano od czasu do czasu produkcje czechosłowackie czy ernerdowskie, o które wkrótce później zapewne nikt się szczególnie nie upominał.

Prywatni dystrybutorzy video kupowali tytuły hurtowo i bezkrytycznie, co zwiększało prawdopodobieństwo niezwykłego, a jednorazowego odkrycia. Jednym z nich były „Wampiry z kosmosu”, bardzo tani horror zombie Glena Coburna. Był szyty grubymi nićmi i celowo dziadowski – być może to właśnie on uświadomił mi, że można bawić się w złe kino.

W okolicach 1993-1994 roku w naszym domu zapanowała kino- i wideomania. Nie wiem, pod czego wpływem, ale rozpoczęły się wyprawy rodzinne to do kina, to do wideoteki. Repertuar typowo dziecięcy trochę przeleciał mi bokiem; zdarzało mi się oglądać czasem kreskówki, zwłaszcza Królika Bugsa czy Kacze Opowieści, ale przeskoczyłam chyba całkowicie etap kina faniijnego. Do kina chodziłam z rodzicami i siostrą na komedie oraz przygodówki, „Rodzinę Addamsów” i „Maskę”, najchętniej do chorzowskiej Panoramy. W wypożyczalniach – wspomnianej Video Limbo i mniejszym, kameralnym Wojtku – robiliśmy zapasy na weekend i kolejny tydzień, bo obowiązywał system wypożyczania nowości na dobę, a starszych filmów na 8 dni. Pamiętam, że regularnie wypożyczałam wtedy filmy, które – jak mniemałam – powinnam obejrzeć, ponieważ przeczytałam o nich w magazynie „Film”. Niektórych nigdy mi się nie udało i z uporem godnym lepszej sprawy dawałam im kolejne szanse, ale jakoś nie mogłam się przemóc. Wśród nich na pewno były filmy Kennetha Branagha oraz „Singles”, bo zdarzył mi się krótki etap fascynacji kinem młodzieżowym dla generacji X. Może powinnam go nadrobić? Z powinności kinomańskiej oglądałam filmy Kieślowskiego, nieszczególnie je może rozumiejąc; dość powiedzieć, że w „Podwójnym życiu Weroniki” zaabsorbowały mnie najbardziej twarde soczewki kontaktowe, które zakłada bohaterka. Był to szczytowy moment mojego teoretycznego zainteresowania filmem – wołałam o nim czytać, niż faktycznie oglądać, a moją ulubioną lekturą stała się „Guinnessa księga filmu”. Czytając streszczenia i recenzje nabierałam poczucia, że obejrzałam już wszystko.

Tato z uporem godnym lepszej sprawy wypożyczał „Głębię” Jamesa Camerona, ponieważ za każdą próbą obejrzenia filmu do końca zasypiał. Chyba nigdy nie udało mu się utrzymać przytomności do końca. Jeśli dobrze sobie przypominam, rodzice oglądali na video sensacje, kryminały, science fiction, czasem komedie, nie zawsze szczególnie ambitne. Kategoria kina obyczajowego była raczej w naszym domu nieobecna. Rodzice wydają mi się wychowankami DKF-ów przełomu lat 70. i 80., na co wskazują ich ulubione tytuły i gwiazdy. Ulubiony aktor mamy: Rutger Hauer. Ulubione aktorki taty: Julie Christie i Charlotte Rampling. Mama wspominała euforię po obejrzeniu „Hair”, tato ostrzegł mnie, że nie ma bardziej przerażającego filmu od „Nie oglądaj się teraz” (miał rację), oboje podzielali zamiłowanie do „Zagadki nieśmiertelności” i „Blade runnera”. To przekładało się na ich późniejsze wybory w wypożyczalni. Dla

mojej siostry i dla mnie świat video stał się za to okazją do obcowania z tabu. Nie chodziło o tzw. filmy dla dorosłych – to nieszczególnie mnie ciekawiło – ale o grozę i makabrę. Nie pamiętam, co na to nasi rodzice, choć przecież jako pełnoletni musieli zatwierdzić wypożyczenie, na przykład, niesławnych pseudodokumentów z cyklu „Oblicza śmierci”, które miałyśmy w zwyczaju włączać po szkole. Wydaje mi się, że było w tym coś z wyzwania, z gry w cykora – która dłużej wytrzyma przed ekranem, bo przecież żadna z nas nie miała predylekcji do faktycznej przemocy. Na pewno u nas obu przełożyło się to na późniejsze zainteresowanie horrorem jako gatunkiem, mnie zdarzył się też epizod fascynacji filmami mondo. Oglądałam też stare „Godzille”, ale raczej jako komedie, bo uwielbiałam pocieszne stare potwory.

W 1995 roku telewizja emitowała cykl „Sto na sto, czyli 100 filmów na stulecie kina”, co zapamiętałam dobrze jako moment formacyjny. Chyba zasnęłam na „Obywatelu Kane”, ale sporo tytułów udało mi się obejrzeć i uruchomić za ich sprawą chwilową fascynację jakimś etapem w historii kina. Uwielbiałam przepaloną paletę barw w „Bonnie i Clyde”, „Chinatown” i „Rozmowie”. Do dzisiaj lata 70. uważam za moją ulubioną dekadę. Niektóre filmy zdarzało mi się błędnie przypisywać do tego cyklu, bo pasowały mi znaczeniem i wrażeniem, jakie na mnie zrobiły. Tak było z „Dniem szarańczy”, kiedy o mały włos nie zemdlalam z pomieszania obrzydzenia ze strachem, czy z „Nocą myśliwego”; obydwa filmy musiałam obejrzeć zdecydowanie w złą godzinę i, jak widać, trening na „Obliczach śmierci” niewiele się zdał w konfrontacji z filmem nieudającym dokumentu, za to drastycznym w inny sposób. Przyznaję, że nie mam odwagi wracać do tych produkcji do dzisiaj, bo nie chciałabym wywoływać w sobie podobnego stanu.

Jak wspomniałam wcześniej, wyrobiłam sobie nawyk teoretycznego czy powierzchownego oglądania filmów. Skupiałam się na pracy kamery, na zdjęciach, na scenografii, na sile rażenia poszczególnych scen, na dialogach, a rzadko kiedy coś realnie przeżywałam, nie mówiąc już o śledzeniu akcji, motywacji bohaterów, czy sklepaniu wątków w całość. Niejednokrotnie miałam wiele frajdy z filmu, nie rozumiejąc przy tym ni w ząb, o czym on właściwie jest. Tak z pewnością było z „Pulp Fiction”, który, choć niezmiernie mi się podobał, stanowił w moich oczach zbiór epizodów; być może sądziłam, że na tym polega kultowość filmu. Nadszedł jednak moment, w którym radość z tego sposobu odbierania kina ustąpiła miejsca frustracji. Pamiętam, że wydarzyło się to, gdy telewizja nadawała komedię sensacyjną „Tajna broń”. Poczułam, że mam tak bardzo dość zagubienia z powodu faktu, że zupełnie nie rozumiem, o co chodzi z tym ganiem się po pociągu, że na pewien czas zapał do oglądania filmów wygasł we mnie w ogóle. Musiało się to wydarzyć w pierwszej dekadzie XXI wieku, bo wiele filmów, o których wiele mówiono i które „wszyscy widzieli”, ominęło mnie kompletnie.

Zaabsorbowały mnie inne sprawy. Ta przerwa w doświadczeniu kinowym trwała dobre kilka lat, dopóki nie przeczytałam przypadkiem podręcznika konstruowania scenariuszy filmowych. Tak przekonałam się, że fabuła nie jest dla mnie do końca stracona. Do dzisiaj pozostaje jednak najmniej istotnym elementem filmu, a spójności nie uważam za warunek absolutnie konieczny. Być może dlatego moim ulubionym reżyserem jest Dario Argento, który wydaje się czasem zupełnie zapominać o scenariuszu, ale nie da się zaprzeczyć, że naprawdę kocha kino.

-----

**Olga Drenda** (ur. 1984), pisarka, eseistka, tłumaczka. Absolwentka etnologii i antropologii kultury UJ. Autorka książek *Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w latach transformacji*, *Wyroby. Pomysłowość wokół nas* (za którą otrzymała nominację do Paszportów Polityki i Nagrodę Literacką Gdynia w kategorii esej) oraz rozmów *Czyje jest nasze życie* (wspólnie z Bartłomiejem Dobroczyńskim) i *Książka o miłości* (wspólnie z Małgorzatą Halber). Od 2013 roku prowadzi facebookową stronę Duchologia poświęconą widmom epoki transformacji.